

Informator Krajoznawczy

Nr 7 (lipiec) 2010



Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra
Komisja Krajoznawcza

Wprowadzenie



Członkowie Dolnośląskiego Zespołu Turystyki Pieszej podczas spotkania w Łęknicy k. Żar w składzie od lewej: Henryk Sławiński z małżonką (Lubań), Antonina Sobieraka (Jelenia Góra), Jan Szymczak (Wrocław), Henryk Antkowiak (Jawor) przewodniczący, Krzysztof Tęcza (Jelenia Góra), Antoni Litwin (Olszyna).

W lipcowym numerze Informatora Krajoznawczego przedstawiam relacje z kolejnego spaceru, zaczynam cykl pod wspólną nazwą „Zjawy i strachy polskie”, w ramach którego będę prezentował kolejne istoty demoniczne. Podzielę się informacjami jakie uzyskałem od ludzi osiedlających się w rejonie Bogatyni zaraz po II wojnie światowej. Podam nowe informacje dla zdobywających OKP oraz zaprezentuję jak działają małe społeczności wiejskie dbające o miejsce, w którym żyją. Takie właśnie postawy zbliżają ich do siebie i dlatego jest to godne uwagi. Na koniec wreszcie piszę o Karkonoskim Klubie Krajoznawczym, którego członkowie działali w latach osiemdziesiątych XX wieku. Życzę przyjemnej lektury.

- Krzysztof Tęcza

Krajoznawcze spaceracje 2010

W sobotę 17 lipca 2010 roku wyruszyliśmy na kolejny spacer krajoznawczy. Naj-

większą atrakcją był Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska. Dzięki takiemu miejscu można w ciągu kilku godzin poznać zarówno obiekty występujące na Dolnym Śląsku jak też dowiedzieć się wielu ciekawostek związanych z nimi oraz faktów historycznych. To właśnie tutaj, w Kowarach, powinno się zaczynać zwiedzanie naszej pięknej ziemi jeleniogórskiej. Pozwoli nam to na sprecyzowanie naszych oczekiwań co do przyszłych planów wycieczkowych. A rozmiar w jakim wykonano prezentowane obiekty pozwoli dokładnie je obejrzeć, a dzieciom sprawi wiele radości i śmiesznych sytuacji.

Zadowoleni z tego co zobaczyliśmy przeszliśmy koło wzniesionego w 1570 roku pałacu "Nowy Dwór", w którym kręcono kiedyś zdjęcia do serialu "Stawka większa niż życie". Po chwili zadumy nad grobami dawnych właścicieli tego obiektu dotarliśmy do szpitala "Bukowiec".



Przy Skalnej Bramie Klobera

Miejsce w którym został wzniesiony ten wielki gmach urzekło nas. Dzieci zaś były zachwycone ujrawszy gromadkę kaczuszek biegnących z góry i skaczących do stawu. Wszyscy dobrze się bawili przy próbie opisu szpitala pod kątem architektonicznym. Byli nawet nieco zaskoczeni jak dużo można dowiedzieć się o obiekcie znając zasady

budowy takiego budynku. Do tej pory wiedzieli tylko, że żył i tworzył tutaj wybitny grafik Józef Gielniak.

Ze względu na panujące upały śniadanie skonsumowaliśmy nad strumykiem o tak czystej wodzie, że nikt nie zawahał się jej napić. Zaraz ujrzelśmy niesamowitą skałę wspartą na dwóch innych, tworzącą bramę. To właśnie miejsce zostało upamiętnione jako "Skalna Brama Klobera", autora XVIII-wiecznej historii Śląska, przebywającego tu niegdyś. Leśną ścieżką prowadzącą miejscami ostro w dół, doszliśmy do miejscowości Bukowiec. Tutaj poznaliśmy bardzo ładnie zachowany krzyż pokutny i dzięki życzliwości księdza mogliśmy wejść do kościoła św. Marcina, w którym zobaczyliśmy niezwykle rzadkie sklepienie zwane kryształowym. Od księdza dowiedzieliśmy się, że figura św. Jadwigi stojąca przed plebanią została sprowadzona tutaj aż z Wrocławia. A na cmentarzu, w porozumieniu z odwiedzającymi Bukowiec przedstawicielami dawnych mieszkańców, utworzono miejsce, w którym zabezpieczono płyty nagrobne, m.in. byłych właścicieli tej miejscowości. Jest to ze wszech miar godne naśladowania. Nie wszędzie bowiem podchodzi się należycie do tego tematu. A przecież uszanowanie i upamiętnienie tych którzy żyli tu przed nami to podstawowa powinność obecnych mieszkańców. Bez tych, którzy już odeszli nie byłoby przecież tego wszystkiego co dzisiaj wzbudza nasz podziw. A że zostawili dużo ciekawych rzeczy dowiedzieliśmy się od razu, wchodząc na pobliskie wzgórze, gdzie znajdują się mury amfiteatru oraz wieża widokowa pozostała z dawnego założenia romantycznego. Obecnie zamontowano tutaj solidne schody i można wejść nimi na górę by podziwiać panoramę. Zaraz dotarliśmy, koło Kręgu Druidów (ponad trzydzieści dużych głazów) i domu Ogrodnika o ciekawej kamiennej arkadowej podmurówce, do Świątyni Ateny. Muszę przyznać, że prace jakie tam trwają zrobiły duże wrażenie na uczestnikach spaceru. Po zakończonym remoncie na pewno nie zabraknie tu chętnych do odwiedzenia tego, już bardzo ładnego miejsca. Po obejrzeniu pałacu (najciekawsze są tu ozdoby sufitów), podążyliśmy między stawami do ruin „Opactwa”, obiektu zbudowanego jako miejsce ostatniego spoczynku właścicieli Bukowca. Obok znajduje się czynna mała kapliczka zwana Ponurą. Nawet staw przy niej nazwano „Stawem przy Ponurej Kapliczce”. Nie dowiedzieliśmy się jed-

nak dlaczego skoro wcale nie robi to tak złego wrażenia. Takie niezbyt ciekawe odczucie wywołuje natomiast usytuowana w pobliżu grota, nad którą musiał kiedyś być punkt widokowy. Pozostały tu nawet schodki. Niestety drzewa zasłoniły już wszystko. Teraz pozostał nam już tylko przyjemny spacer leśną drogą nad płynącą Jedlicą, której rwący nurt podmywa skarpy. Widok ten oraz przyjemny chłodek pozwoliły nam spokojnie dotrzeć do Mysłakowic, skąd odjechaliśmy autobusem do Jeleniej Góry.

Dodam tylko, że opisywaną wycieczkę prowadził piszący te słowa.

Zjawy i strachy polskie

Od bardzo dawna na ziemiach Polski rozpowszechniona była wiara w różnego typu zjawy ni strachy, oparta na zjawiskach, których nie można bliżej wytłumaczyć, a które budziły prawdziwe przerażenie. Ponadto były miejsca w których straszycie. Oczywiście omi- jano je z daleka.

A czymże były te zjawy i strachy? Najczęściej spotkać je można było w starych zamkach i pałacach, opuszczonych dworach, przy starych młynach, na cmentarzach itp. Nieraz zjawy przybierała kształt ludzki lub zwierzęcy. Czasem był to jedynie zarys postaci, jakiś promień, cień... innym razem słyszano dziwne jęki, krzyki, hałasy, brzęki...

Jak więc widać strachy nie były takie groźne. Nie można jednak zapominać, że w momencie ich ujżenia wywołane napięcie emocjonalne doprowadziło niejedną osobę do ciężkiej choroby a nawet śmierci. Z reguły fakt pojawienia się jakiejś zjawy tłumaczono, iż jest to powracający do miejsca swojego życia duch osoby zmarłej niedawno. Mogła to być osoba bliska lub wróg. Najczęściej celem takiej wizyty było powiadomienie o zbliżającym się nieszczęściu lub śmierci. Czasami były to tak zwane dusze pokutujące, które musiały odkupić grzechy popełnione za życia.

Dawniej we wszystkie te zjawy nie wątpiono. Dzisiaj większość z nich można uznać za wytwory sugestii, czy też rzadko występujących zjawisk atmosferycznych. W czasie opowiadań o tym co się wydarzyło przesadzano, a w wiadomościach przekazywanych dalej wciąż dokładano kolejne elementy. W ten sposób te przecież nic nie winne zjawiska przekształcały się w straszne potwory. W ludzkiej wyobraźni pojawiać się zaczęły nowe istoty demoniczne, które nazywano strachami, czyli nie czyniącymi ludziom nic złego, a jedynie wywołującymi u nich uc-

zucie strachu. Były one znane jako wiły. W XIX wiecznych opisach czytamy: "było to straszdyło wysokie w postaci piły..." W innych opisach wiły przedstawione są jako zjawy o trupich twarzach; jako czaszki ludzkie lub końskie, podskakujące nocą na krótkich nogach po drodze; jako czworonogi z długimi kłapiącymi zębami lub jako dziwne postacie z głową starca z długą, żółtą brodą.

Inny strach, mimo iż była to końska czaszka, nie był wiłem. Było to zupełnie odrębne straszdyło, straszące ludzi, ale nie robiące im krzywdy. Ze starych przekazów można dowiedzieć się, że np. w XIX wieku pod koniec zimy pojawiał się po zachodzie słońca koński łeb, który zagradzał ludziom drogę i czynił to aż do nadejścia nocy. W innym wypadku koński łeb, tym razem na małych nóżkach, spacerował sobie wokół cmentarza. Spotykano też strachy człekokształtne.

Bardzo często na terenie prawie całej Polski pojawiały się strachy, do których ludzie z czasem przyzwyczaili się, na przykład przychodząca w nocy czarna koza, usiłująca tylko przebywać jak najbliżej swojej ofiary. Innym razem mogły to być występujące jednocześnie trzy postacie: czarny pies ciągnący łańcuch, kary żrebak i ubrany na czarno panicz. Przychodziły one regularnie, o tej samej porze, aby przejść przez wieś i nie czyniąc nic złego wrócić do siebie.

W miarę upływu czasu i podniesienia rozwoju intelektualnego ludzi, kiedy wiele z owych zjaw potrafiło wytłumaczyć jako normalne zjawiska, kiedy wreszcie ludzie z natury przestawali wierzyć w tego typu strachy i nie dawali wiary opowieściom, powoli zjawy owe przestały straszyć. Obecnie opowiadania o nich traktowane są już tylko jako ciekawe legendy, mimo iż nieraz mamy w różnych okolicznościach przeświadczenie, że jest w nich ziarno prawdy. Gdy ujrzymy zjawę nie bójmy się jej. Wszak nie robi ona nam krzywdy. Jej celem jest tylko napędzenie nam małego strachu.

Bogatynia w okresie powojennym

Gdy zaczęli napływać pierwsi osadnicy, tereny Bogatyni, Zatonia Trzcińca były zielone, a powietrze zdrowe i czyste. Niewiele wskazywało na to, iż niedawno skończyła się wojna. Jeszcze w niektórych gospodarstwach mieszkały rodziny niemieckie, które nie zdążyły uciec przed linią frontu, ale już w roku 1947 reszta spakowała walizki i wyjechała za Nysę Łużycką. Ponieważ w większości zabu-

dowania gospodarcze stały nietknięte, osadnicy nie mieli kłopotów z zagospodarowaniem się na nowym miejscu. Pierwsi mogli jeszcze wybierać gospodarstwa wyposażone w sprzęt rolniczy oraz domy całkowicie umeblowane. Stodoły załadowane były zbożem (nie wszystkie oczywiście), a w piwnicach były zapasy ziemniaków i buraków. W wyborze pomagał przybyłym sołtys. Kolejni osadnicy musieli brać to, czego jeszcze nie zajęli ich poprzednicy. Obok porządnych ludzi trafiali się również zwyczajni wandy i szabrownicy, dlatego nie zajęte gospodarstwa były początkowo okradane, a następnie niszczone do tego stopnia, że nie nadawały się już do zamieszkania.

Rolnicy zaczęli uprawiać pola. Potrzebna była żywność. Jednak dużo większą chęć do pracy przejawiali robotnicy, głównie zatrudnieni w kopalni węgla brunatnego. Chociaż początkowo ludzie nie dbali o mienie mówiąc, że są tutaj przejściowo, że to wszystko niemieckie, to po kilku latach zmieniali swoje nastawienie. Zaowocowało to przede wszystkim rozwojem usług. Zaczęto myśleć nie tylko o pracy, ale również o odpoczynku. Co sobotę i niedzielę urządzano huczne zabawy i potańcówki.

Pierwsi osadnicy przybywali transportami zbiorowymi z jednego określonego terenu. Ściągali oni później swoich krewnych i sąsiadów tworząc całe "rodzinne" osiedla. Ci z kresów osiedlali się głównie w Bogatyni nazwanej z tego powodu "Moskwą". Zatonie, gdzie zamieszkała grupka rodaków z Francji, określano "Paryżem", a Trzciniec z przybyłymi tu Polakami z terenów Niemiec - "Berlinem".

Najbardziej w tym czasie zadowolone były dzieci. Wszędzie poniewierały się duże ilości sanek, nart, lalek i innych zabawek, ale szukały one jeszcze tzw. Mocnych wrażeń - chciały bawić się w żołnierzy, oczywiście używając do tego celu prawdziwej broni. Porzucona lub zakopana, nieraz z amunicją, była łatwą zdobyczą. W miarę stabilizowania się życia wojsko coraz szybciej i sprawniej ujawniało i odbierało takie "zabawki".

Gdy wyjechali ostatni Niemcy, zaszła konieczność zapełnienia powstałej luki przy obsłudze restauracji, drobnych zakładów rzemieślniczych i małych fabryczek. Szukano odpowiednich ludzi wśród osadników. Nie zawsze wytypowany człowiek okazywał się odpowiedni, toteż dużo wspomnianych obiektów zostało bezpowrotnie zniszczonych.

Obecny teren Bogatyni obejmuje dawne wioski Trzcinię (Dolny i górny), Zatonie (wieś i kolonie), Turów i inne. Jeden z osadników, który opowiadał mi o swoim życiu po przyjeździe tutaj, mieszkał w Zatoniu, w budynku nr 319 wyburzonym w roku 1980 dla potrzeb elektrowni. Obok stały jeszcze dwa inne domy. Ten jednak był wyjątkowy. Dawny jego właściciel, major lotnictwa niemieckiego, miał również majątek w dzisiejszych Czechach. Tutaj gospodarowała jego córka. Ze względu na obszar ziemi uprawnej potrzebni im byli ludzie do pracy. Mimo, iż byli to niejednokrotnie robotnicy przymusowi, trzeba było ich gdzieś zakwaterować oraz nakarmić. Duży murowany budynek o dachu dwuspadowym z okapem krytym dachówką, z dwoma kondygnacjami piwnic, mieścił szereg wygodnych pokoi, które udostępniono pracującym. Na portalu domu umieszczona była między dwoma lwami data 1889. Z tyłu stał mały pałacyk dla córki właściciela. W budynku dla robotników najemnych była stołówka i jadalnia. Oba pomieszczenia wyłożone kafelkami zawsze lśniły czystością. Do dnia rozbiórki lokatorom służyła dawna wędzarnia, magiel elektryczny, piekarnia, centralne ogrzewanie. Nie wszyscy mieli wówczas zegarki, dlatego też na dachu zbudowano małą wieżyczkę na dzwon, którego dźwięk oznajmiał porę posiłków. Wodę potrzebną w gospodarstwie pobierano za pomocą pompy ze źródła, a zużyta odprowadzana dzięki założonej kanalizacji. Podwórze, aby ludzie nie tonęli w błocie, wyłożono kostką. Oprócz wymienionych obiektów zbudowano dużą stajnię, garaże na maszyny rolnicze oraz całkowicie zmechanizowaną stodołę z trzema betonowymi silosami (zachowanymi do dzisiaj). Silnik elektryczny napędzał taśmociąg łańcuchowy, za pomocą którego snopki rozkładano zarówno w poziomie jak i w pionie. Z dużego sadu (częściowo zachowanego) uzyskiwano mnóstwo śliwek, czereśni, gruszek. Istniała przechowalnia owoców - dwa betonowe pomieszczenia w ziemi. Właściciel gospodarstwa był na tyle bogaty, że musiał zabezpieczyć się przed złodziejami. Z tego powodu umieszczono tu aż 4 kasy pancerne: trzy w pokojach a największą przy stołówce. Po zburzeniu budynku okazało się, że ważyła ona 1,5 tony.

Pewnego dnia jeden z moich rozmówców, w latach 50-tych, sadził w ogrodzie krzaki agrestu. W pewnym momencie poczuł pod szpadłem coś twardego. Uderzył mocniej

i wykopał przegniłą deskę. Po zdjęciu warstwy ziemi jego oczom ukazała się skrzynka zawierająca zastawę porcelanową - talerze, filiżanki, dzbanuszki, kubki, wazy - oraz kryształowe szklanki zdobione pięknym szlifem. Inny gospodarz znalazł podobną skrzynię ze srebrnymi sztuczkami. Kilka lat po tym wydarzeniu w ścianie nieużywanej stajni zauważono świeżo wykuty kwadratowy otwór. Po dłuższych dociekaniach okazało się, iż była tam zamurowana skrzynka, prawdopodobnie z kosztownościami poprzednich właścicieli. Na strychu znaleziono wiele starych książek oraz fotografie rodzinne.

Początkowo był tu piękny teren rekreacyjny. Grzyby rosły tuż przy zabudowaniach, w niewielkich brzoźowych zagajnikach. Nawet istniejąca po niemieckiej stronie elektrownia nie była zbyt uciążliwa. Ta sielanka nie trwała jednak zbyt długo. Pod koniec lat 50-tych XX wieku zaczęto budowę elektrowni Turów, mającej zaspokoić rosnące zapotrzebowanie na energię elektryczną. Zburzono wówczas wiele budynków przeszkadzających w realizacji tego ambitnego założenia. Później burzono i takie domy, które nie przeszkadzały. Zatrudnienie znalazła tutaj większość mieszkańców. Początkowo zarabiali oni bardzo dobrze.

Ścisły związek z zarobkami miało życie prywatne budowniczych, głównie osób zamieszkałych w hotelach robotniczych w Sienawce. O godzinie 22.00 nikt nie mógł wyjść na ulicę, nie ryzykując pobicia. Po każdej wypłacie miały miejsce bójkі, często kończące się bardzo tragicznie. Był nawet wypadek obcięcia komuś uszu. Wkrótce do akcji wkroczyła milicja, która trochę ostudziła zapał krewkich osobników.

W miarę uruchamiania kolejnych bloków elektrowni obraz tej ziemi zmienił się nie do poznania. Coraz mniej było gospodarstw rolniczych, coraz więcej odpadów. Rosły hałdy, na których doświadczalnie sadzono drzewka owocowe i siano żyto. Mieszkańcy co roku oglądali czarny i brunatny śnieg. Mała kopalnia pracująca dla potrzeb elektrowni nie nadążała już z zaopatrzeniem jej w węgiel, toteż zaczęto budować kopalnię nr 2. Niestety, wiązało się to z koniecznością zdjęcia olbrzymiego nadkładu i przemieszczenia go w inne miejsce.

Zatonie dzieliło się na dwie części: kolonię sięgającą od obecnej szosy Bogatynia - Zgorzelec w stronę elektrowni Turów oraz wieś, od szosy w stronę przeciwną. W tej części stoi do dziś kościół katolicki, obecnie

znajdujący się na końcu zabudowań, a wtedy w połowie wioski. Niestety na dzień dzisiejszy jest to już całkowita ruina. Strach tam wchodzić. W miejscu dawnych domów rozciąga się teraz hałda. Szosa Bogatynia - Zgorzelec to nowa, krótsza trasa komunikacyjna. Początkowo stara droga przebiegała koło kościoła i dalej przez Działoszyn. Obecnie częściowo zasypana jest hałdą, a częściowo zalana wodą z utworzonego tutaj zbiornika wodnego. Zaraz za pocztą stał kościół ewangelicki, który miano restaurować. Mieszkańcy jednak nie chcieli tego i ładny gmach z wieżą rozebrano. Przy świątyni był mały cmentarzyk, a obok kapliczka słupowa podobna do stojącej przy obecnej szosie prowadzącej do Zgorzelca. Wyposażenie kościoła częściowo zabrali mieszkańcy wioski.

Przez wieś płynie niewielki strumyk, którego wody zasilają dawniej duży basen kąpielowy z trampoliną, rozbieralnia, prysznicami. Później ulokowano w nim hodowlę karpia, by po paru latach zasypać go. Ludzie przychodzili tu nie tylko aby odpocząć i popływać, ale także do usytuowanej obok restauracji i Sali tanecznej, gdzie w każdą sobotę i niedzielę urządzano zabawy.

Istniało więcej lokali gastronomicznych. Niektóre budynki mieszczące je zachowały się, jednak wykorzystywane są już tylko jako obiekty mieszkalne. Przy obecnym przystanku PKS restauracja "Stara Polanka" zajmowała parter budynku. Na piętrze urządzano potańcówki. Czynna od 8.00 do 21.00, przez cały tydzień była miejscem spotkań większości mieszkańców wioski, zwłaszcza gdy w latach 50-tych zlikwidowano tę przy basenie. Do tańca przygrywała orkiestra.

Obok kościoła i obok basenu działały dwie szkoły podstawowe. W jednej z nich uczniowie mieli do dyspozycji dużą scenę. Oprócz wymienionych obiektów istniały jeszcze dwie piekarnie: jedna koło kąpieliska, druga za pocztą.

W Zatoniu - kolonii zbudowano na miejscu starej stodoły kino, w którym odbywały się też przedstawienia teatralne i kukielkowe. Koło apteki początkowo był bar mleczny (lata 50-te), później przez kilkanaście lat sklep z artykułami gospodarstwa domowego, potem pijalnia piwa, aż do końca 1980 roku, kiedy to budynek rozebrano ze względu na budowę elektrowni Zatonie. W latach 60-tych postawiono przychodnię górniczą.

Elektrownia Turów miała stać trochę dalej, na polach zlikwidowanych PGR-ów. Później przesunięto lokalizację o dwa kilometry, wykorzystując częściowo bagnisty teren, oszczędzając w ten sposób pola i zmniejszając odległość z kopalni do elektrowni, co nie było bez znaczenia. W czasie budowy centralnej betonowni, nazywanej Lusią, zlikwidowano dwa gospodarstwa rolne. W tym samym miejscu postawiono kotłownię do wstępnego rozruchu. Na miejscu obecnej oczyszczalni ścieków znajdował się stadion sportowy kopalni Turów.

Nie wszystko jednak uległo zniszczeniu. Kilka domów zostało rozebranych i przewiezionych do skansenów.

Na początku lat 60-tych zaczęto budować budynek nazwany później "Megawat". Powstało tu miejsce, gdzie pracownicy mogli oprócz zjedzenia posiłku pokrzepić się czymś mocniejszym. Klienci tej restauracji pozostali do dnia dzisiejszego ci sami, może nie konkretni ludzie, ale pracownicy elektrowni i firm prowadzących w niej prace remontowe.

Początkowo obok "Megawatu" postawiono wiatę - pijalnię piwa, którą po dwóch latach przewrócił wiatr. Więcej jej nie odbudowano, a później w tym miejscu postawiono kiosk "Ruchu".

Zagadkowym obiektem dla każdego, kto tutaj przyjedzie, jest stacja kolejowa Turoszów, wybudowana w latach 60-tych w miejsce baraku. Jest to wszystko co pozostało po wiosce Turów pochłoniętej przez kopalnię, nie licząc kilku budynków już na terenie kopalni.

Nad dopływem Nysy Łużyckiej usytuowany był młyn wodny, na miejscu którego zbudowano kopalniane warsztaty. Podobny młyn wodny, później elektryczny, można było obejrzeć w Markocicach. Innym już rozebrany obiekt był kościół katolicki z cmentarzem, otoczony prawie dwumetrowej wysokości murem z cegieł. Po wojnie z nieużywanej świątyni wywieziono do innych kościołów jej wyposażenie. Teraz znajduje się w tym miejscu zaplecze oraz budynek dyrekcji kopalni. Obok kościoła były zabudowania PGR-u. W jednym z nielicznych zachowanych domów ćwiczyła orkiestra górnicza. W wiosce tej również istniała szkoła podstawowa.

W Dolnym Trzcińcu znajdowały się ładne domki osiedla górniczego, rozebranego w czasie budowy elektrowni. Mieszkańcy chodzili do istniejącej tutaj w latach 1956-1968 restauracji potocznie zwanej "Kasztan". Po

wyjeździe właściciela budynek ten służy wyłącznie celom mieszkalnym. Kolejna restauracja o nazwie "Graniczanka" usytuowana była nad Nysą Łużycką. Miejscowi nazywali ją "mordownią".

W budynku mieszczącym Szkołę Energetyczną, w Sali tanecznej odbywały się w każdą sobotę potańcówki. Dla zaspokojenia bardziej przyziemnych potrzeb działał bufet. W czasie wojny istniała tutaj szkoła niemiecka. Wiązało się to z usytuowanymi w Sieniawce lotniskiem oraz koszarami wojskowymi i podziemnymi warsztatami. Przed bramą prowadzącą na dziedziniec uchowały się dwa ozdobne jelenie naturalnej wielkości.

W Dolnym Trzcińcu była również piekarnia oraz rzeźnia ze sklepem firmowym. Druga piekarnia, czynna jeszcze w latach 60-tych, znajdowała się za stawem w Górnym Trzcińcu. Zajmowała ona część budynku mieszkalnego istniejącego jeszcze dzisiaj. W okresie wcześniejszym, to znaczy w latach 50-tych, zamknięto jedną z restauracji oraz salę taneczną. Później rozebrano budynek. Bardzo znana była wówczas orkiestra rodzinna Szmytki.

Zaraz po wojnie dzieci jako zabawek używały nici, igieł, szpilek, które poniewierały się na terenie nieczynnych już zakładów bawełnianych usytuowanych nad Nysą. Maszyny wywieziono wcześniej, co zdecydowało o losie tego obiektu służącego później jako magazyn.

W Trzcińcu Górnym znajdują się ruiny zamku, ale kiedyś, czyli do końca lat 50-tych, prawdopodobnie do roku 1959, istniał tutaj wspaniały pałac. Był to budynek kilkukondygnacyjny o dachu krytym dachówką. Początkowo obiektu tego pilnował sołtys. Niestety, niedługo. Wkrótce zaczęła się jego dewastacja i rozkradanie mebli. Ściany wewnątrz obite były kolorowym pluszem. Przed wejściem leżały dwa kamienne lwy naturalnej wielkości. Pierwotnie pałac należał do właściciela wspomnianych zakładów bawełnianych. Obok istniały dwie szklarnie, którymi opiekował się starszy Niemiec, a po jego śmierci polak. Na początku lat 50-tych szklarnie zlikwidowano. Nieopodal znajdowała się głęboka studnia, do której dzieci dla zabawy wrzucały kamienie przywiązywane do starych parasoli. Spadały one z głośnym świstem. Później ktoś zasypał częściowo studnię. Chodziły wtedy słuchy, że znajduje się w niej podziemne przejście prowadzące na drugi brzeg Nysy i że korzystali z niego dywersanci. Na sąsiednim wzgórzu (koło mostu

kolejowego) pozostały resztki starego cmentarza. Ponoć jest tam drugi podziemny tunel, częściowo zapadnięty. Na wzgórzu ze wspomnianym już pałacem znajdowała się jeszcze jedna restauracja w budynku z kolorowymi malowidłami naściennymi, w której oferowano nie tylko jedło, trunki i zabawę, ale także wspaniałe widoki.

Interesujące obiekty i ich dzieje można by wyliczać jeszcze długo, ale nie jest to celem samym w sobie. Chodziło mi bowiem o ukazanie jak było dawniej na tych terenach, jak ludzie sobie radzili, jak żyli, jak bawili się. W pamięci ludzkiej pozostało wiele z lat poprzednich, które należą już do historii.

OKP stopień srebrny: Nad Bałtykiem

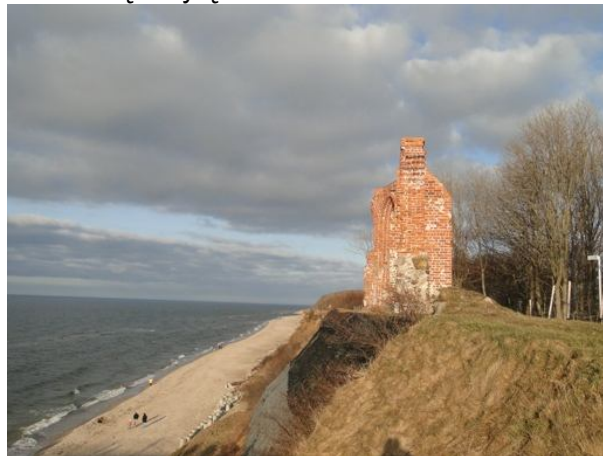
Jak już wspominałem, w poprzednim odcinku, głównym celem mojego wyjazdu był Kołobrzeg. Miałem stamtąd zabrać żonę, która kurowała się w sanatorium. Ponieważ celowo przyjechałem nieco za wcześnie zacząłem zwiedzać okolice. Na niektóre wycieczki udało mi się namówić żonę, ale większość odbyłem sam. Zabiegi lecznicze okazały się jednak ważniejsze. Na początek podjechałem do Trzęsacza, gdzie można obejrzeć brzeg klifowy i zobaczyć czy stoją jeszcze ruiny starego kościoła. Stoją! Piszę o tym ponieważ jeszcze nie tak dawno nie było to takie oczywiste. Na szczęście wykonano solidną opaskę betonową i potężne schody z tarasem widokowym. Obok utworzono Muzeum 15-go południka. Zachęcam do jego zwiedzenia. Stąd miałem już blisko do Międzyzdrojów. Bardzo spodobał mi się parking przed muzeum zbudowany specjalnie dla zwiedzających (opłata wliczona w cenę biletu, który kosztuje 5 zł). Dlatego nie warto przestawiać samochodu tylko przespacerować się wytyczonym szlakiem by dotrzeć do Zagrody Pokazowej Żubrów. Tam trzeba jednak kupić kolejny bilet też za 5 zł. Ale warto, bo nazwa jest nieco myląca. Oprócz żubrów są tu jeszcze inne stworzenia. Teraz dla zmiany nastroju udałem się nad Jezioro Turkusowe, przy którym utworzono miejsca parkingowe. Wykonano tutaj schodki ułatwiające wejście na punkt widokowy zabezpieczony barierkami. I znowu przydał mi się rower. Dojechałem nim do grodziska nad Jeziorem Czajczym. Ale już na Kawczą Górę poszedłem pieszo. Samochód zostawiłem na jednym z licznych tu parkingów. Niestety wszystkie one są płatne, ale dzięki temu że są, mogłem spokojnie zaliczyć w jeden dzień Woliński Park Narodowy. Jeszcze tego samego dnia

udałem się do Bazyliki pw. Wniebowzięcia NMP. Co prawda żona "zaciągnęła" mnie na mszę, ale za to po niej nic nie stało na przeszkodzie aby pomyszkować nieco po kościele. A warto. Kościół jest niesamowity, zwłaszcza te przechylone kolumny.

Następnego dnia odwiedziłem Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu. Jak się okazuje zgromadzone tutaj zbiory są drugie co do wielkości w kraju. Jednak muzeum to ma także zbiory historyczne umieszczone w drugim budynku. Większość turystów tam nie trafia, a szkoda bo są one bardzo ciekawe. Ponieważ czasu miałem sporo pojechałem do miejscowości Tuczo, gdzie zwiedziłem zamek Wedel-Tuczyńskich. Znajduje się tutaj Dom Pracy Twórczej Architekta. Został on ładnie odnowiony, a darmowy parking z kamiennymi ławeczkami wykonanymi z kół młyńskich zachęca nie tylko do zwiedzania ale także do chwili odpoczynku. I właśnie po chwili wytchnienia ruszyłem do Wałcza, do Ośrodka Przygotowań Olimpijskich. W samym ośrodku jest w zasadzie wszystko co powinno być. Jest restauracja, są miejsca noclegowe, pływalnia, odnowa biologiczna itp.. Ale to o co mi chodziło znajduje się nieco z tyłu. Główną atrakcją jest most wiszący na stalowych linach. Ma on długość 120 kroków. A najlepsze zaczyna się gdy wejdziemy na niego i zacznie wiać wiatr. Cały most zaczyna wtedy tańczyć i huścić we wszystkich kierunkach. Coś niesamowitego. Dla takiego przeżycia warto było tu przyjechać. W miejscowości Zdbice koło Wałcza możemy obejrzeć zachowane w lepszym lub gorszym stanie fortyfikacje Wału Pomorskiego. Przygotowano tu spory parking, a przy pomniczku drugi mniejszy na kilka samochodów. Warto jednak, choć trzeba się nieco nachodzić aby znaleźć panią z kluczem, zejść do Izby Pamięci Narodowej. Kosztować nas to będzie jedyne 2 zł.

W Starym Drawsku znajduje się zamek Drahim. Nad wejściem umieszczono tabliczkę z napisem "Siedziba ORDO TEMPLI Komandoria Czaplinek". Pod zamkiem można zostawić samochód na dużym placu. Należy zatem odwiedzić ten obiekt, który według przekazów był pierwszą polską twierdzą zajęta przez wkraczające do Polski wojska szwedzkie. Działo się to w 1655 roku. Ja wchodząc do warowni pozwoliłem sobie na mały żarcik i w zamian otrzymałem bilet ulgowy za 5 zł. A w środku skosztowałem pysznego chleba ze smalcem i kiszonym ogórkiem. Widać że ludzie którzy zajmują się

tym obiektem naprawdę starają się uatrakcyjnić naszą wizytę.



Trzęsacz - kościół porywany przez morze

Kolejny mój wyjazd zaprowadził mnie w okolice Połczyna Zdroju gdzie zwiedziłem Dolinę Pięciu Jezior. Miejsce to tak naprawdę najlepiej oglądać z roweru. Ja, po w miarę dokładnym zwiedzaniu, wyruszyłem jeszcze pieszo na dwukilometrową ścieżkę edukacyjną "Dolina Pięciu Jezior". Początkowo szedłem brukowaną drogą by wejść w zarośla. Po chwili są one tak gęste i wysokie że nie mogę się przedrzeć. Nagle napotykam leśniczego. Ten bardzo miły człowiek wyprowadził mnie do "cywilizacji". Zaprosił do leśniczówki (pieczątki) i opowiedział o przyrodzie, o tym dlaczego to wszystko jest tak zarośnięte. I o jeszcze wielu innych rzeczach.

Kolejnym robiącym wrażenie obiektem jaki odwiedziłem był głaz Tryglaw w miejscowości Tychowo koło Białogardu. Początkowo minąłem go. Szukałem bowiem, zgodnie ze wskazówkami uzyskanymi od miejscowych, cmentarza. Ale niestety nie zauważyłem żadnych grobów. Ponieważ podjechałem aż do budynku Urzędu Gminy poszedłem zasięgnąć informacji. Okazało się że cmentarz ma nietypowy kształt i do głównej ulicy przylega tylko bramą wejściową. Dlatego można go przegapić. Po otrzymaniu pieczątki zawróciłem z powrotem i już bez trudu zaparkowałem w zatoczce przy ulicy. Tryglaw jest tak duży iż po przejściu kilkudziesięciu metrów było go już widać. Gdy tak oglądałem ten niezwykle pomnik przyrody podeszła do mnie jedna z osób porządkujących cmentarz. Pan ten grzecznie się przywitał i zagadnął. To moje zainteresowanie obiektem (opisywałem go) wzbudziło jego ciekawość. Okazał się on być skarbnicą wiadomości. Opowiedział mi legendę związaną z tym miejscem. Przetłumaczył napisy umieszczone na głazie. Chociaż później okazało się że z boku są tabliczki w języku pol-

skim. Ale wszystko się zgadzało. Byłem jednak zadowolony z tak miłego spotkania. Przejżdżając przez Białogard zauważyłem wieżę kościoła Narodzenia NMP. Obejrzałem ten ciekawy obiekt. Są tutaj piękne witraże. Po rozmowie z księdzem i otrzymaniu pieczętki dotarłem z powrotem do Kołobrzegu. Tak oto zakończył się mój pobyt nad Bałtykiem. Ponieważ żonie skończyło się sanatorium nadeszła pora powrotu do domu. Ale tak się nie stało. O czym w następnej części mojej kroniki.

Nowy krzyż na cmentarzu w Stanisławowie

Sudety Zachodnie to znane chyba wszystkim góry, w skład których wchodzi ich bodajże najpiękniejsza część jaką są Wzgórze Łomnickie. Nic więc dziwnego, że rozłożona na tych właśnie wzgórzach wioska Stanisławów, siłą rzeczy jest najpiękniejszą miejscowością jaką tutaj powstała. I nie można się dziwić ludziom tu zamieszkałym, którzy swoje życie związali ściśle z tymi widokami, z tą atmosferą, z zabytkami, czy wreszcie z sąsiadami. Bo mieszka tu wiele rodzin, członkowie których nie tylko, że nie wadzą nikomu to jeszcze pomagają sobie wzajemnie, uznając to za prawidłowość. Dzisiaj może rzadko spotykana, ale na terenach wiejskich jest to normą. Ludzie bowiem żyjący z pracy własnych rąk oraz tego co urodzi im ziemia mają nieco inne spojrzenie na życie. Inaczej podchodzą nie tylko do swojej pracy, do swoich obowiązków, ale inaczej postrzegają swój krótki pobyt na tym świecie. Oni po prostu czują otaczającą ich przyrodę. Są czuli na zmartwienia trapiące zarówno członków ich rodzin ale także znajomych i sąsiadów. Dlatego też nie ma co się dziwić, że czując silną więź wspólnoty, odczuwają też potrzebę zarówno pracy na rzecz społeczności w której żyją, jak i też chęć dzielenia się z innymi. Może nie tyle tym co posiadają (choć niejednokrotnie udowodnili że bezinteresowna pomoc nie jest im obca), ale tym co jest niewymierne, tym czym może podzielić się każdy, jeśli tylko czuje taką potrzebę. Tym czymś jest gest, praca, pomysł, jednym słowem wszystko to co może nie jest potrzebne do normalnego funkcjonowania, ale coś co dane raduje innych. Coś trochę niewymiernego, chociaż nieraz też to kosztuje, ale najważniejsza w tych wypadkach jest właśnie ta wartość nieprzeliczana na pieniądze. Człowiek bowiem jest tak ułożony, że może niedojeść, może chorować, może cierpieć, ale potrze-

buje nadziei. Potrzebuje wiary. Nie, nie mówię tu jednoznacznie, że potrzebuje Boga czy Kościoła. Jest to tylko forma. Ale nadzieja i wiara są ponad wszystko. Oczywiście wspinał się jeśli idą one w dobrym kierunku. A że rolnik czujący ziemię, rolnik hodujący żywe stworzenia, rolnik pracujący w trudnych warunkach; nieraz doświadczający niszczycielskiej siły natury, jest człowiekiem czującym, prawym i jednocześnie potrzebującym czułości innych, nie ma co się dziwić, że właśnie tacy ludzie starają się zrobić coś dla ogółu.



Właśnie jeden z takich ludzi przed 60 laty wykonał dębowy krzyż, który przez tak długi okres czasu przeciwstawiał się wiatrowi, deszczowi, śniegowi, słońcu. To właśnie Czesław Roj umieścił na cmentarzu parafialnym w Stanisławowie krzyż górujący nad grobami. Niestety natura poradziła już sobie z drewnem. Dlatego kolejne pokolenie rodziny Rojów postanowiło coś z tym zrobić. Pomysł ten poparł ksiądz proboszcz Mariusz Witczak.

I tak 14 lipca 2010 roku dzięki sponsorom Iwonie i Mirosławowi Rojom, znany rzeźbiarz z Kowar, pan Jerzy Jakubów wykonał nowy, tym razem kamienny krzyż z wizerunkiem Chrystusa. Krzyż ten został przywieziony w trzech kawałkach, by na miejscu za pomocą specjalnego kleju zostać scalonym i osadzonym na szczycie skalnego założenia, w miejsce drewnianego. Stary krzyż zostanie zgodnie z wolą księdza proboszcza umieszczony w kościele pw. Przemienienia Pańskiego w Stanisławowie jako pamiątka. A nowy krzyż został zamontowany przez pana Jakubca, któremu pomagali synowie: Dominik i Jakub; inicjator wymiany krzyża Mirosław Roj, oraz Marcin Roj, Zygmunt Grześkiewicz i Krzysztof Tęcza. Muszę przyznać, że mimo początkowych obaw praca przebiegła wyjąt-

kowo sprawnie i jej efekty mogą oglądać wszyscy odwiedzający cmentarz.

Myślę że nie będzie wielkiej przesady jeśli pochwali się zarówno sponsorów jak i wykonawcę. Spisali się na medal. A krzyż, tym razem z solidnego materiału przetrwa wszystkich, którzy przy nim pracowali. I oby służył jak najdłużej miejscowej społeczności.

Karkonoski klub Krajoznawczy

16.07.1986 roku odbyło się zebranie założycielskie Karkonoskiego Klubu Krajoznawczego na prawach Koła PTTK przy Oddziale "Sudety Zachodnie" w Jeleniej Górze. Ustalono wówczas skład zarządu Klubu. Na prezesa wybrano Krzysztofa Tęczę, a na przewodniczącego komisji rewizyjnej Włodzimierza Niewiteckiego. Zgodnie ustalono, iż turystyka górską, poza wędrowaniem po górach, powinna wnosić także elementy poznawcze, a więc krajoznawstwo. Jest tak dlatego, że sama turystyka nie daje takiego zadowolenia, jakie przynosi połączenie turystyki z krajoznawstwem. Poznanie zarówno historii topografii terenu, jak i doznania w sferze uczuciowej i estetycznej, a zwłaszcza propagowanie tych wartości wśród innych turystów, daje najwyższe zadowolenie z tej formy działalności połączonej z wypoczynkiem. Po dyskusji ustalono, że działalność Klubu będzie miała na celu:

- czynny wypoczynek w terenie połączony z poznawaniem walorów krajoznawczych,
- zapoznanie się z historią: kraju, turystyki, krajoznawstwa i ochrony zabytków oraz przyrody,
- podnoszenie umiejętności koleżanek i kolegów poprzez organizowanie i udział w różnego rodzaju imprezach, konkursach, wystawach oraz zdobywanie odznak turystyki kwalifikowanej,
- szeroką popularyzację osiągniętych wyników.

Aby urzeczywistnić to założenie postanowiono, że wszystkie zebrania odbywać się będą w plenerze. Dlatego też jeszcze na jesieni tego samego roku odbyto pieszą wycieczkę z Czarnego do Staniszowa. I mimo to, iż dzieci bez zmęczenia biegały tam i z powrotem, a dorośli uczestnicy (przynajmniej niektórzy) musieli pokonać stromą ścieżkę na Witoszę na "czworaka", należało uznać tą imprezę za udaną. Tym bardziej, że w Staniszowie uraczono wszystkich długą prelekcją z przeżyciami na temat gór położonych w krajach z nami sąsiadującymi. Gospodarz zaś

zorganizował wspaniałe ognisko, przy którym dyskutowano prawie do białego rana. Nawet poranny chłód nie przepłoszył nikogo, jedynie przybladła poświata księżyca odbijała się w nieco przetartej czuprynie jednego z kolegów.

W latach 1987 i 1988 odbyło się jeszcze kilka narad. Wszystkie, tak jak pierwsza, miały miejsce w Staniszowie, tyle tylko, że trzeba było doń dotrzeć za każdym razem z innego miejsca. Wycieczki te pozwoliły uczestniczącym w nich dzieciom zdobyć odznaki "Siedmiomilowe buty", a starszym poprawić kondycję.

Ponieważ zaczynała się wówczas akcja inwentaryzacji krajoznawczej Polski, członkowie KKK postanowili nie pozostawać na uboczu. Dlatego też zorganizowano grupę inwentaryzacyjną i rozpoczęto prace w terenie. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Zinwentaryzowano gminę Platerówka oraz miasta: Zgorzelec i Zawidów. Z materiałów jakie zebrano, wykorzystano kilkadziesiąt zdjęć organizując dwie wystawy fotograficzne, na których ukazano walory krajoznawcze w gminie Platerówka oraz zabytki architektury miasta Zgorzelec. Kolejną formą działalności Karkonoskiego Klubu Krajoznawczego miało być wydawanie własnego biuletynu. Niestety, tego punktu nie zrealizowano, gdyż w 1988 roku postanowiono - ze względu na wycofanie się wielu członków (zmiana miejsca zamieszkania, miejsca pracy, założenia rodzin, przyjscia na świat dzieci, i innych powodów) - zlikwidować Koło i przejść do Koła Grodzkiego przy Oddziale "Sudety Zachodnie". Tak też się stało. Przeszliśmy wtedy w tak zwany stan uśpienia.

Mimo iż Klub istniał zaledwie dwa lata, to warto poznać jego historię gdyż, jak myślę, jego członkowie odnieśli spore osiągnięcia. A niestety jedynym śladem tego, co uczynili, był jak dotąd, tekst zamieszczony w "Gazecie Robotniczej" z 12.10.1986 r., w którym pisało między innymi: "...Postanowili uprawiać turystykę, ale nieco inaczej. Wędrując po górskich i nizinnych szlakach województwa jeleniogórskiego nie zadowalają się podziwianiem przyrody. Szukają jeszcze tak zwanych walorów krajoznawczych - roślin, które powinny być pomnikami przyrody, ruin i zabytków, o których niewiele w zapiskach..."

A oto fragment tekstu z "Nowin Jeleniogórskich" z 12.11.1986 r., gdzie podano: "...Jego członkowie podczas turystycznych wędrowek szukają ciekawych miejsc, roślin, pamiątek dawnej architektury, które później opisują. Zinwentaryzowano już 90 obiektów,

do dokumentacji wykonano 13 planów i mapek, oraz 70 zdjęć czarno-białych. W Zalipiu natrafiono na stary wiatrak nie figurujący w ewidencji zabytków..."

I niestety nikt z tak zwanych działaczy PTTK nie zauważył, że my młodzi, nawet bardzo młodzi ludzie, wykonaliśmy taki ogrom pracy w tak krótkim czasie. Przeszło to bez echa. Ale ponieważ pracowaliśmy, realizując swoje pomysły, czerpiąc z tego wiele przyjemności, nie zwracaliśmy na to uwagi. Dzisiaj, z perspektywy czasu widzimy, że była to dla nas wspaniała przygoda, a dla nich nic to nie znaczyło.

Wydawca:
Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK
„Sudety Zachodnie”
Jelenia Góra – lipiec 2010
Tekst, zdjęcia, redakcja: Krzysztof Tęcza
Pomoc techniczna - Andrzej Mateusiak
Adres do korespondencji: tecza20@wp.pl